

# JENS LAPIDUS VIP ROOM

Nareszcie! Wspaniały thriller, który może rywalizować z książkami Stiega Larssona. To zupełnie nowy mroczny świat. Nie sposób się oderwać.

**James Ellroy**



## 5 lutego

Święta zasada: zawsze mieć przy łóżku pełną szklankę. Philip pomacał ręką. Zimna, gładka powierzchnia. Jest.

I pigułki. Zawsze pigułki. Wycisnął dwie tabletki zolofu i popił wodą. Gdyby zaszła taka konieczność, mógłby faszerować się nimi bez otwierania oczu.

Ale wciąż zbyt wiele obrazów przewijało się w jego głowie. Zebrania w pracy. Spotkania w banku. Wszyscy, którzy chcieli od niego kasy. Łóżko w mieszkaniu. Uderzenie w twarz. Trzeszczący lód. Miły lekarz ze szpitala Karolinska, który go opatrywał. Stephanie wiercząca mu dziurę w brzuchu, że chce wiedzieć, co się stało.

Rozumiał ją – nie zdarza się często, żeby on lub któryś z jego kolegów wracał do domu z posiniaczoną twarzą. Nie powiedział jej jednak, że przez ponad piętnaście minut stał na cienkim lodzie na zatoce Nybroviken.

W końcu tamci faceci sobie poszli. Położył się wtedy na brzuchu i podczołgał do brzegu.

Nigdy w życiu się tak nie bał. Ale prawdziwy lęk ogarnął go dopiero wtedy, gdy zakopał się w swoim łóżku. Trząsał się przez całą dobę.

Tak naprawdę chciałby stanąć na balkonie i wydrzeć się na całe gardło. Krzyżeć tak, że eksplodowałyby mu płuca, a potem głowa. Jednak to nie przypadłoby do gustu sąsiadom. I niewykłuczone, że dotarłoby to do jego rodziców lub znajomych. Hamiltonowie mieszkający w tym samym domu lub staruszek Wachtmesier po drugiej stronie ulicy mogliby go usłyszeć. Philip chyba nie czuje się dobrze. Philip wyje i ryczy.

Mama i tata musieli coś zauważyć, gdy z nimi mieszkał. Cienie pod oczami i hałas dobiegający z pokoju, gdzie całym nocami tłukł w gry telewizyjne. Blistry tabletek na biurku i małe woreczki strunowe w koszu. A jednak robili swoje. W zasadzie było mu to na rękę; chciał, żeby tak pozostało. Podział między nim a nimi, bezpieczna odległość. Oni: na imprezach, bankietach, drinkach, w podróżach, w pracy. On: w domu z opiekunką, młodszą siostrą, przyjaciółmi, kimś jeszcze. Najczęściej samotny.

Bezwartościowy.

Usiadł na łóżku. Zrobiło mu się odrobinę lepiej. Kołdra wysunęła się z poszewki. Usiłował ją naciągnąć bez wstawania. Spojrzał na jeden z zegarków, które położył na nocnym stoliku: cartier santos, czterdziestoczwieromilimetrowa tarcza. Kupiony w Nymans Ur pięć miesięcy temu. Tytanowy.

Wtedy: zegarek-triumf. Przedmiot czarny, matowy, kosztowny, a jednak delikatny. Dowód na to, kim był.

Teraz: od tygodnia miał nowy marki Patek Philippe. Cartier już mu się znudził.

Dochodziło piętnaście po dziesiątej.

Czas wstawać. Musiał wziąć się w garść. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że gonitwa myśli nie pozwoliła mu zasnąć do czwartej. Nikt nie mógł odkryć tego, że w Philipie krył się drugi Philip.

Ten, który balansował na ostrzu noża, bliski zsunięcia się w mrok.

Wziął do ręki iPada i przejrzał dwadzieścia nowych mejli. Większością tych spraw mogli zająć się inni, ale chciał mieć kontrolę.

Potem kliknął na ikonę Facebooka. Jego ostatni wpis pochodził z początku tygodnia. Zdjęcie z parkietu w którejś z knajp

przy Stureplanie\*: smugi światła w dymie. On z butelką w dłoni. Poczul obrzydzenie.

Dostał nową wiadomość.

Zdjęcie profilowe nadawcy przedstawiało białego, czerwono-okiego królika: „Myślę o tobie częściej, niż tego chcę. Należysz do mnie, Philipie. My dwoje już na zawsze jesteśmy złączeni. Teraz wiem o tobie jeszcze więcej. Musisz z tym skończyć. Niebawem do ciebie przyjdę, Philipie. Już niedługo. AA”.

Przeglądał Facebook.

Przed oczami znów widział mokry, cienki lód.

Pękał mu pod nogami.

\* Stureplan – plac w centrum Sztokholmu, przy którym mieszczą się ekskluzywne kluby nocne.

## 12 lutego

Pokój spowijała ciemność.

Teddy usiadł i po omacku szukał włącznika światła.

Al Pacino łypał na niego z wiszącego na ścianie plakatu *Człowieka z blizną*. Tony Montana siedział przy biurku ze złotym zegarkiem na ręku, przed nim stała kryształowa szklanka z whisky. Wiadomo było, że ma atrakcyjną żonę i wszystko idzie jak po maśle, a jednak bruzdy na jego policzkach wydawały się głębsze niż u ojca Teddy'ego po śmierci mamy. Czerń w oczach Montany aż biła ze zdjęcia, nawet w ciemnej sypialni Nikoli Teddy dostrzegał ten mrok. To nie ta scena, w której na biurku Montany leżał gigantyczny kopiec kokainy, a on, kompletnie zdeprawowany i zapuszczony, zanurzał w nim twarz. To było wcześniej. Montana u szczytu narkotykowej kariery; już wtedy znajdował się po ciemnej stronie mocy.

Na regale stały dwie fotografie w ramkach. Jedna przedstawiała Lindę w czapce studenckiej i błękitnej letniej sukience. Wyglądała na szczęśliwą. Teddy pamiętał, że tego dnia urządzili przyjęcie w domu taty. Rok później urodził się Nikola i tata nie był już taki zadowolony. Linda miała przecież pójść na studia. Na drugim zdjęciu znajdowała się cała rodzina. Mama, tata, Linda, Darko i on. Belgrad; wtedy był jeszcze dzieckiem. W tle kamienny mur z gigantycznym liliowym różanecznikiem, który wyglądał na wiekowy. Teddy miał tylko jedenaście lat, ale dokładnie zapamiętał tamto lato. Każdego popołudnia on, tata i Darko siadali w Café Biblioteka, podczas gdy mama z Lindą przechadzały się po mieście. Tata jadł sałatkę z wołowiną i karmelizowaną cebulą oraz kopcił niesamowite ilości

drinów, miejscowych papierosów. Rozmawiali o książkach, piłce nożnej i gotowaniu; twarz taty jaśniała, gdy na nich spoglądał.

Teddy skupił się na spojrzeniu ojca z fotografii. Trzeba go niebawem odwiedzić. Teraz jednak musi spać.

Noc zawsze mu sprzyjała.

Dawniej.

Powinien jak najszybciej uporządkować swoją sytuację finansową. Te dwadzieścia osiem tysięcy koron i złote łańcuszki nawet w połowie nie pokrywają jego potrzeb. Na przykład ponowne podejście do prawa jazdy – kurs teoretyczny, jazdy próbne i sam egzamin – nadwątlili tę rezerwę szybciej, niż zajmie mu wypowiedzenie słowa „wypłata”. Najpierw musiał załatwić sobie jakieś własne lokum, a w międzyczasie zamierzał dorzucić się Lindzie do czynszu.

Karta upominkowa do Åhlénsa poszła na plecak i parę zimowych butów. Wszystko inne miał pożyczone. Cholera, nawet bokserki nie były jego; te trzy pary, które dostał, leżały w praniu.

Przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Dejanem.

– Jak u ciebie ze strzelaniem? – zapytał kumpel, gdy jedli lunch w opustoszałej restauracji na Södermalm.

Teddy wciągnął powietrze przez nos. Dejan już od gimnazjum był jego towarzyszem broni. Nawet jeśli nie zmienił się od czasu, gdy Teddy trafił za kraty, to nadal dobry z niego kumpel. Lojalny i szalenie zabawny, ale dla pełnego obrazu należy dodać, że także bardzo niestabilny.

– Już nie strzelam.

Dejan zrobił wielkie oczy.

– Bo przez osiem lat nie miałeś broni w ręku? Wyszedłeś z wprawy?

– To nie to. Umiejętności się nie traci. Ale koniec z tym. Koniec z bronią.

– A masz chociaż kondycję? Potrafisz radzić sobie w sytuacjach, które wymagają, jakby to powiedzieć... bezpośredniego kontaktu fizycznego?

– Z tym też już skończyłem.

Dejan oparł się na krzesło i zamilkł. Rozglądał się powoli jak senny dinozaur. Szalik w kratkę Burberry luźno zwisał mu wokół szyi, a kołnierzyk pikowanej kurtki jak zwykle miał podniesiony.

– A co z twoim prawkiem?

– Zabrali mi, gdy poszedłem siedzieć. Ale zamierzam jak najszybciej załatwić sobie nowe.

– Ja pierdołę. Nie strzelasz, nie używasz pięści, nie jeździsz. To czym możesz się zajmować?

– Jestem zajębisty w meblach ogrodowych.

Dejan uniósł brwi.

– Przez ostatnie lata sporo zajmowałem się drobną stolarką. W Hall i w Österåker. Poważnie mówię. Ławy, stołki, domki dla ptaków. Siedem z czternastu ławek, które właśnie wystawili w Hellasgården, to moja robota.

Dejan popijał colę zero. Niegdyś wybierał colę light z tego samego powodu – by nie podwyższać sobie poziomu cukru we krwi.

Rozumiał, że problemy Teddy'ego się piętrzą. Komornik wszczął już postępowanie dotyczące jego długów – zarówno względem osób prywatnych, jak i wobec państwa. Z pensji zabiorą bez pytania tyle, ile się da. Jakąkolwiek robotę znajdzie, będzie żył na poziomie minimum socjalnego aż do czasu, gdy zupełnie odechce mu się pracować.

Czyhały na niego także większe niebezpieczeństwa. Poprzedniego dnia Linda wręczyła mu świstek z numerem telefonu. Ktoś próbował się z nim skontaktować; nie wiedziała kto.

Teddy oddzwonił.

– Tak? – Głos w słuchawce brzmiał znajomo.

– Tu Teddy. Ktoś spod tego numeru prosił o kontakt.  
– Ach, to ty. Dobrze, że dzwonisz. Słyszeliśmy, że wyszedłeś.  
A myślałem, że najwcześniej za rok.

Lekko flegmatyczny głos; mężczyzna po drugiej stronie mówił powoli i bełkotliwie, jak zawodnik UFC na konferencji prasowej po walce.

– Jestem już na wolności. Z kim rozmawiam?

– Tu przecież Morgan. Chyba mnie pamiętasz? Mogge Wiking z campingu, *the big fat camping lord*. No, halo?

Teddy zrozumiał. Morgan Östling przed ośmiu laty mieszkał na campingu Solvalla i słynął z tego, że miał ostro zryty beret. Jeśli Mogge Wiking nie mógł zająć czymś rąk – wysmarkać nosa, podrapać się, pobawić telefonem – mogło mu odwalić i stawał się niekontrolowanie agresywny. Raz na jakiś czas zatrudniano go, gdy trzeba było sprowadzić kogoś do kraju lub ściągnąć dług. Według wszelkich norm Mogge Wiking to gość na dnie, facet, z którego inni się nabijali. Miał jednak asa w rękawie, prawie dosłownie: raz w tygodniu łąił w karty z Robertem Hillströmem w salonie gier Krukan. Czyli z niebyle kim.

Uważano, że Hillström stał za przekrętem z Marlboro, a teraz stosuje ten sam trik z elektroniką. Import milionów papierosów z tanich krajów europejskich i nie tylko do rozmaitych spółek, w których ćpuny robiły za słupy, a w magazynach dochodziło do pożarów, kradzieży i zalań, towary znikały lub w różny sposób ulegały zniszczeniu. Chodziło o to, żeby uniknąć podatku od tych papierosów. Czasem spółki otrzymywały nawet odszkodowanie z ubezpieczenia. Jednocześnie każdy, kto trochę się orientował, wiedział, że te fajki sprzedawano we wszystkich kioskach w środkowej Szwecji. W pierdlu mówiło się, że Hillström zarobił na tym ponad sto milionów.

Teddy zawsze słuchał uważnie, co gadają, bo chwilę przed trafieniem za kraty nagrał Hillströmowi kilku smerfów.

– Ten Johnny Olsson, którego nam poleciłeś, pamiętasz? No, ten przyszczyty skurwiel.

– Pamiętam, bo co?

Domyślał się, do czego zmierza Mogge. Ta rozmowa nie zmierzała w dobrym kierunku.

– Kilka lat temu go skazano...

– Kilka? To było pięć, sześć lat temu, albo i więcej.

– Hm, ale to ty go nam nagrałeś. Dostał trzy lata za współudział w ciężkiej przewalce podatkowej.

– Nagrałem wam faceta wcześniej, trzy lata wcześniej. Czego tak w ogóle ode mnie chcesz?

– Wsypał połowę organizacji. Siedem osób poszło siedzieć, włącznie ze mną. Wiedziałeś o tym? Garowałem rok przez tego twojego pierdolonego Olssona.

Teddy słyszał pogłoski, ale nigdy nie drążył tematu.

– No i czego chcesz?

– Ja niczego, uporałem się ze swoją złością. Ale inni zgłaszają pretensje. Chyba rozumiesz, nie?

Teddy nie miał problemów ze zrozumieniem. Znał reguły.

Johnny Olsson – smerf, którego załatwił Teddy – podczas aresztowania przejechał dwieście tysięcy należące do Hillströma. Jednak to, że sypał, było dziesięć razy gorsze. Ktoś musiał za to zapłacić. Tak przynajmniej uważał zleceniodawca Wikinga.

Teddy wziął głęboki oddech.

– Weźcie się walcie. Przekaż mu to. Było, minęło. Może zapomnieć.

Jednak w głębi duszy wiedział, jak jest. Mogge Wiking nigdy by nie zadzwonił, gdyby Hillström nie traktował sprawy poważnie.

A król Marlboro domagał się swojej kasy: dwustu tysięcy koron. I chciał utrzymać nosa kapusiom oraz ludziom, którzy kapusiów zatrudniali.

Mogge zachowywał spokój.

– Wyluzuj, Teddy. Powiem ci tylko tak: ktoś musi za to beknać. W przeciwnym razie kogoś spotkają nieprzyjemności. Wiesz, jak jest.

Teddy próbował się rozluźnić.

Nie dał rady.

\*

Porsche carrera 911 turbo. Kubelkowe fotele, komputer pokładowy – wszystko w czerwonej skórze: klamki, kierownica, nawet hamulec ręczny. Pięć okrągłych zegarów na desce rozdzielczej emanujących neoklasyczną perfekcją.

W drodze na lotnisko: on i Stephanie.

Cała jej rodzina wybierała się na Mauritius na dwa tygodnie świętować sześćdziesiąte urodziny taty.

Steffi od miesiąca w kółko trajkotała o tym wyjeździe.

Philip to rozumiał – chodziło w końcu o luksus przez duże L – choć to nie powód, żeby tyle o tym gadać.

Hotel, do którego się wybierali, nie był pierwszym z brzegu. Anahita Garden Residence Villa sieci Four Seasons o powierzchni tysiąca pięciuset metrów kwadratowych, prywatny basen bez krawędzi typu *infinity* oraz tropikalny ogród. Pokoje z panoramicznym widokiem na lagunę, każdy z osobną łazienką. Trzecie miejsce na liście najbardziej luksusowych kurortów świata według magazynu „Condé Nast Traveller”. *All inclusive*, naturalnie. A przede wszystkim: własny kamerdyner.

Stephanie aż zaklaskała z zachwytu, gdy jej mama zadzwoniła z tą nowiną. Wyprofilujcie leżaki, schłódźcie szampana, przyslijcie ekipę pedikiurzystek – Anahito, nadchodzę.

Zabawne, że Stephanie przez tydzień wcierała w siebie samoopalacz, żeby nie wyglądać na bladą już na miejscu.

Tej nocy spali u niej, bo chciała spakować ostatnie rzeczy – cztery miesiące wcześniej, z okazji dwudziestych urodzin, dostała od rodziców mieszkanie na Kommendörsgatan.

Spędzali wspólne noce raz w tygodniu, zazwyczaj u niego. Nie mógł gościć jej za często, to było zbyt uciążliwe z wielu powodów. Pigułki, rurki do wciągania koki, numery telefonów i inne drobiazgi musiały za każdym razem zostać uprzątnięte.

– Który kostium kąpielowy mam wziąć? Taki czy taki? A ten We Are Handsome jest megaszalowy, co nie?

Philip leżał w jej łóżku, usiłował się skoncentrować i odeprzeć lęk. Przed chwilą wymknął się do toalety, żeby wziąć zolof, a teraz od niechcienia oglądał *Mad Men*.

O tej porze na E4 panował niewielki ruch. Dochodziło w pół do ósmej wieczorem. Godziny szczytu już dawno minęły.

Dziewięćsetjedenaśotka wydawała z siebie pomruki jak mały kociak. Nie było to auto na zimowe warunki, za mocno przez to obrywało. Ale kiedy się miało drugie najszybsze porsche dostępne poza torem rajdowym, chciało się nim jeździć niezależnie od pory roku.

– Byłam wczoraj u Rolfa – powiedziała Stephanie, która najwyraźniej chciała porozmawiać na swój ulubiony temat: o sobie.

Miała ufarbowane na blond włosy, które zwykle upinała w kucyk, chyba że szła na imprezę, przyjęcie lub obiad rodzinny. Wtedy układała je przez godzinę, aż falowały jak u Blake Lively. Cztery lub pięć razy w tygodniu trenowała na siłowni Balance. Mówiła, że się zastanawia, czy nie zostać terenem osobistym.

Philipa drażnił niestarannie obcięty z jednej strony paznokieć palca wskazującego. Zanotował w pamięci, żeby go opiliować po powrocie do miasta.

– Na ostatnich spotkaniach dużo rozmawialiśmy o tej podróży. Pytał, jak się z tym czuję, teraz, przed samym wyjazdem. Może mama i ja wreszcie choć raz normalnie ze sobą rozmawiamy, prawda?

Philip starał się sprawiać wrażenie, jakby się skupiał na drodze i prowadzeniu, choć tak naprawdę skubał kciukiem nierówny paznokiec.

– To na pewno wyjdzie ci na dobre.

– Wiesz, odkąd przeprowadziłam się na Kommendörsgatan, prawie ze sobą nie rozmawiamy. Dzwonię, żeby opowiedzieć jej o egzaminie albo zapytać, czy chce obejrzeć ze mną nową kolekcję Ralphi Laurena, i słyszę tylko: „Tak, tak, porozmawiaj z tatą”. Nie wiem, co się stało. Że niby tata miałby się interesować ciuchami? Rolf mówi, że muszę odciąć pępowinę i się usamodzielnic. Zasugerował, żebym zaczęła chodzić do osteopaty.

Philip ruszył w stronę wyjazdu z lotniska.

Zostawił Stephi przy wejściu, a sam poszedł po wózek, na który załadował bagaże. Jednak nie odprowadził jej do stanowiska odprawy. Nie miał sił na spotkanie z jej rodzicami i wykręcił się tym, że nie chce dostać mandatu za parkowanie.

Myślał o inwestycji, której się przyglądał: firma zajmująca się kredytami konsumenckimi potrzebowała pieniędzy. Udzielali pożyczek osobom prywatnym, głównie przez esemesy, bez zabezpieczenia i na krótki okres. Pożyczenie pięciu tysięcy koron na dwa tygodnie kosztowało dwa tysiące odsetek i tak dalej. Zysk na poziomie pięciuset procent w skali roku. Cash-Finans – tak nazwali swój interes. Mieli świetny przepływ gotówki i nie narzekali na brak klientów. Jednak żeby się rozrastać, potrzebowali kapitału.

Philip musiał sprawdzić bilans dodatkowych obrotów oraz ryzyko kredytowe. Może wkręci w to również Iana, zależy, jak poszła mu ostatnia inwestycja związana z Fluxoventinem.

Kłopot z Ianem polegał na tym, że choć doskonale radził sobie z rachunkowością, zupełnie nie znał się na zarządzaniu. Marnotrawił pieniądze na księgowych, adwokatów i wszelkich doradców tylko dlatego, że nie ogarniał spraw praktycz-

nych. W trzech jak dotąd wspólnych interesach Philip musiał mu trochę matkować. Ian nie wiedział nawet, jak dokonać zmiany zarządu w Krajowym Rejestrze Sądowym. Czasem Philip zastanawiał się, jak to będzie.

Przypomniawszy sobie wczorajszy brunch.

T-Baren w hotelu Diplomat zawsze był pełen właściwych osób. Idealne miejsce na podpatrywanie ludzi, nawiązywanie kontaktów, budowanie relacji.

Często się tam spotykali.

Restauracja miała fajny wystrój. Solidne, miękkie krzesła, bardziej jak małe fotele. Duże okna wychodzące na Strandvägen. Faceci w prochowcach i pod krawatami prowadzący na smyczy jamniki; rosyjscy turyści w gigantycznych futrach ocierających się o wulgarność. Farbowane blondynki z włosami upiętymi w kucyki, drepczące jedna za drugą.

Na stole: trzy poziomowa patera ze świeżo upieczonymi scones, ubite masło i angielska marmolada. Jajka Benedykta, bliny z kawiozem z Kalixu, bekon i chorizo. A także mały wazon z ładnymi ciętymi kwiatami, które przypominały zielone, gąbczaste piłeczki do golfa.

Lollo wlepiła w niego wzrok, gdy wysuwał fotel, żeby usiąść. Miał nadzieję, że nie było po nim widać, jakiego miał kaca.

– Nie wiedziałam, że mamy dziś horror party.

Philip nie odpowiedział, zamiast tego skinął na kelnerkę. To przecież męski brunch, ich tradycja. Przyprowadzanie dziewczyn zawsze psuło trochę klimat, chociaż Lollo była całkiem spoko.

Philip mozolnie podniósł się z miejsca i podszedł do niej, żeby pocałować ją w policzek. Demonstracyjnie odchyliła głowę, tak by nie czuć na sobie jego oddechu.

– Ale na pewno wyglądam lepiej niż tamten trup. – Wskazał na Iana.

Ian uniósł kieliszek. Platynowe spinki w kształcie węzełków przy jego mankietach połyskiwały w świetle wpadającym przez okno.

– Też się cieszę, że cię widzę, Philip. Zawsze miło się spotkać.

Obok Iana siedział Carl Lewenskiöld, z którym Philip poprzedniego lata poleciał do Nowego Jorku. Mieli spotkać się z kilkoma inwestorami, głównie Żydami, oraz dwoma młodymi chłopakami z Doliny Krzemowej. Skończyło się głównie na imprezowaniu – Ritz okazał się dobrym hotelem z pełną obsługą. Po powrocie do domu znaleźli pieniądze gdzie indziej.

Obok Carla rozsiadł się Axel Nilsson, którego rodzice przyjaźnili się z rodzicami Philipa. A obok Axela – Lollo, znajoma ze szkoły. Oprócz nich przy stole siedziało czterech innych gości, których też znał od dawna.

Philip zamówił cappuccino i Mimozę.

Ian dopił ostatnie krople Krwawej Mary i odstawił szklanekę na stół. Stały już przed nim dwie puste.

– Od dwudziestu minut tak siedzę. Najwyraźniej nikt tutaj nie zbiera pustych szklanek.

– No i?

– Wiesz, o czym to świadczy?

Philip potrząsnął głową.

– Że oszczędzają na personelu?

– Powiem tak: zabalować z klasą w ciągu dnia można tylko w Londynie czy Nowym Jorku. Tutaj wszystko to syf.

Dwie godziny po odstawieniu Stephanie na lotnisko nadal czekał. Próbował oglądać telewizję. Programy typu *Rolnik szuka żony* na wszystkich kanałach. Debil szuka debila – a może taki program zrobić?

Chwilę surfował po necie; przejrzał parę stron z kredytami konsumenckimi konkurencji CashFinans. Sprawdził w komputerze kilka rzeczy związanych z pracą: wyliczenia, mejle, raporty.

Przedziurawił blister i wycisnął tabletkę. Zoloft, jego przyjaciół.

Otworzył lodówkę i wyjął red bulla.

Musiał odpędzić te myśli. Nie wytrzyma tak dłużej.

Czuł się niespokojny. Samotny. Zapomniany.

Tak naprawdę nikt się o niego nie troszczył. Nikt nie dostrzegł, kim był. Odezwały się mroczne wspomnienia. Wrzask. Ból brzucha. Przymrużone oczy.

Wycisnął kolejne tabletki i połknął je, popijając resztką sztucznie słodzonego napoju.

Snuł się po mieszkaniu. Wyglądał przez okno. Bawił się telefonem. Wysłał esemesa do Iana: „Miałbyś czas zerknąć na jeden projekt? Nazywają się CashFinans. Sprawdziłem ich sprawozdanie roczne – zajebisty przepływ gotówki”.

Potem znów przypomniał sobie o usterce Iana. Kilka tygodni temu żalił się, że musi zatrudnić asystentkę wyłącznie po to, by płaciła tymczasowy podatek w jego szwedzkiej spółce holdingowej. A przecież wystarczyło wpisać kilka cyfr i zrobić przelew na stronie banku. Ian najwyraźniej tego nie ogarniał.

Philip położył się, jednak po chwili wstał, żeby opuścić rolę.

Wrócił do łóżka.

Zwinął się w kłębek i czekał, aż tabletki zaczną działać.

Czekał, aż nadejdzie spokój.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Dziwne, przecież zawsze wcześniej dzwonił na komórkę.

Podniósł się i poszedł otworzyć.

Na klatce schodowej panowała zupełna ciemność.

Dostrzegł jakieś postacie, jednak nie widział ich twarzy.

Mieli coś na głowach. Niewielkie otwory na oczy. Jeszcze mniejsze otwory na nos.

Osoba stojąca najbliżej zrobiła krok w jego kierunku. Philip nie zdążył zarejestrować, co się dzieje.

Wciągnęli mu coś na głowę – materiałową torbę albo jakąś siatkę.



Wstrzymał oddech. Ciemność przed oczami. Usiłował to zerwać.

Ktoś obezwładnił mu ręce.

Obrócił się i próbował się wywinąć, ale mocno go trzymali.

Wlekli go po podłodze.

Znów zamierzali go pobić? To ci sami?

Podnieśli jego ręce. Owinęli mu coś wokół nadgarstków, za-  
bolało. Próbował stawiać opór, ale było już za późno.

Nie mógł poruszać dłońmi ani w ogóle rękami.

Leżał na podłodze, czekając na uderzenia i kopniaki.

– Czego, kurwa, chcecie? – wydierał się.

Żadnej odpowiedzi.

Ktoś pociągnął go za stopę; czuł, jak krępują mu również  
nogi.

– Czego chcecie?

Cisza.

Ciemność napierała.

Jednak nie nadchodziły żadne uderzenia ani kopniaki.

Słyszał swój szybki, płytki oddech.

Torba zrobiła się wilgotna w środku.

## Twardy dysk

To zaczęło się dokładnie przed siedmioma tygodniami.

W chwili, gdy Cecilia zamknęła drzwi do przedszkolnej szatni, w której walały się gumowe spodnie i porzrucane skarpetki, zadzwonił do niej sąsiad.

– To dziwne, ale wydaje mi się, że w waszym mieszkaniu się pali.

– Co takiego?

– Pali się. Stoję na balkonie i patrzę w stronę waszego miesz-  
kania. Z kuchni wydobywa się dym. Zadzwoniłem po straż po-  
żarną. Mam nadzieję, że nikogo tam nie ma.

Kiedy przyjechała, na ulicy stały dwa wozy strażackie, a teren  
ogrodzono czerwono-żółtą taśmą. Cecilia mocno przyciskała  
Lillan do piersi, podczas gdy strażacy z usmolonymi twarzami  
wbiegali do klatki i z niej wybiegali. Na elewacji nad oknami  
kuchni i dużego pokoju widziała czarne plamy sadzy. Rozpo-  
znała kilku sąsiadów.

Podszedł do niej strażak, który przedstawił się jako dowodzący  
akcją, i wyjaśnił sytuację najlepiej, jak potrafił. Pierwsze jego  
słowa sprawiły, że wszystko inne zbladło.

Mąż Cecylii, Mats, był w domu. Straż pożarna znalazła go  
nieprzytomnego na podłodze w sypialni – być może zastał  
i upadł, może próbował się czołgać, żeby nie wdychać dymu.  
Na szczęście szybko zdołali go wydostać i stwierdzić, że żyje.  
Karetka zabrała go do szpitala. Więcej dowódca nie wiedział  
w tym momencie.

Cecylię zastanowiło, co Mats robił w domu w środku dnia.  
Nigdy nie wracał wcześniej niż o szóstej.

Po chwili wrzawa na ulicy ucichła, a gdy płomień przestał pełzać po ścianie domu, sąsiedzi się rozeszli.

Przed Cecilią znów stanął dowódca.

– Jest w szpitalu w Huddinge. Wyjdzie z tego. Właśnie dzwoniła pielęgniarka. Nawdychał się dymu i czadu, ale są dobre myśli.

– Matko, co za ulga!

– Dogasiliśmy już wszystko. Jutro przyślemy rzeczoznawcę, żeby stwierdził, jak doszło do pożaru. Ma pani jakieś podejrzenia?

– Nie, zupełnie... Chociaż mieliśmy problemy z elektryką w zmywarce.

– Aha, czyli mogło dojść do zwarcia. Ale jak mówię, jutro ktoś się temu przyjrzy.

Cecilia przyglądała się strażakowi. Miał pobrudzony pomarańczowy kombinezon, głębokie zmarszczki na twarzy, a spod kasku wystawały mu zmierzwione włosy. Przypominał jej kogoś, może Keitha Richardsa?

Coś chodziło jej po głowie, ale nie potrafiła tego sprecyzować. Jakby domagało się jej uwagi, jakby chciała coś dodać.

– Mogę zobaczyć mieszkanie? – zapytała w końcu.

Ubrania w przedpokoju wisały na swoich miejscach, buty stały na półce. Jedyne sadza na suficie oraz cienka warstwa popiołu na komodzie i lustrze zdradzały, co się wydarzyło. Sufit wyglądał, jakby ktoś go flambiował, ale poza tym opadło tylko trochę pyłu na niektóre meble i przedmioty.

Weszli głębiej. W kuchni pachniało ogniskiem.

– Przypuszczamy, że tutaj się zaczęło. Jak pani widzi, wydzieliło się sporo dymu. Sąsiedzi też ponieśli spore szkody w związku z zalaniem. Ale nie warto teraz się tym martwić. Plastik się stopił. Państwa stół kuchenny... a zresztą, niech sama pani zobaczy.

To był dziwny widok. Normalnie ściany miały kolor sztokholmskiej bieli, czyli skorupki jajka. Szafki, półki, sprzęt AGD

i kuchenna wyspa – całość w tym samym odcieniu. Postawili na minimalizm, bez esów-floresów, jak mawiał Mats. Teraz wszystko zrobiło się czarne lub szare. Jakby ktoś postanowił im udowodnić, że mają zły gust.

Zapach był tak przenikliwy, że wstrzymała oddech, ale to pogorszyło sprawę. Śmierdziało jak na ognisku z okazji nocy Walpurgi, do tego było czuć spaloną gumę.

– Chyba powinna to pani założyć. – Strażak podał jej maskę gazową.

Stali przez chwilę w milczeniu, obserwując spustoszenie. Tynk z sufitu odchodził płatami i był czarny jak smoła; półki nad zmywarką doszczętnie spłonęły, a stojąca na nich porcelana rozbiła się w drobny mak. Podłogę pokrywała breja z piany gaśniczej, wody i popiołu.

– Chce pani zobaczyć jakiś inny pokój?

Tak, chciała. Dowódca poprowadził ją do sypialni.

To tam na podłodze znaleziono Matsa. Cecilia wciąż nie mogła zrozumieć, co robił w domu o tej porze.

W tym pomieszczeniu zniszczenia okazały się mniejsze. Ogień tu nie dotarł, chociaż sufit i górna część ścian pociemniały. Cecilia zdjęła maskę.

Strażak wskazał drzwi.

– Dostało się tu sporo dymu, bo drzwi do pokoju dzieci, do salonu i przedpokoju były zamknięte. Dym mógł się przedostać tylko tutaj.

Weszła trochę dalej. Strażak został w przedpokoju, rozmawiał z kimś przez krótkofalówkę.

Od razu poczuła, że coś jest nie tak; coś się nie zgadzało.

Narzutę na łóżku pokrywał popiół, przez co wyglądała na granatową, a nie różową. Drzwi do garderoby były zamknięte. Cecilia miała nadzieję, że ubrania ocalały, choć może to naiwne. Na nocnym stoliku wciąż leżała książka Arnego Dahla z zakładką wetkniętą tam, gdzie skończyła ją czytać poprzedniego wieczoru.

Nagle spostrzegła, co się nie zgadzało. Na małym biurku pod oknem stał otwarty laptop.

Wiedziała, że Mats miał w pracy komputer stacjonarny. Ten widziała po raz pierwszy.

Podeszła i przejechała palcem po obudowie. Może laptop należał do strażaków?

Nie, na klawiaturze zebrał się popiół, niczym warstewka szarego śniegu. Musiał tu stać, zanim wybuchł pożar.


Metal wydawał się zimny i chropowaty. Ekran był wygaszony.

Cecilię ogarnęło dziwne uczucie.

Odwróciła się. Dowódca straży pożarnej zniknął, choć słyszała jego głos w przedpokoju.

Nacisnęła spację i na ekranie pojawił się obraz.

Nigdy nie widziała niczego obrzydliwszego.



**Pierwszy tom nowego cyklu szwedzkiego mistrza, którego nazwisko jest wymieniane zaraz po Stiegu Larssonie.**

Teddy, zwany czasem Miśkiem, po ośmiu latach wychodzi z więzienia. Zmienił się. Chce zerwać z kryminalnym półświatkiem, ale bez pracy nie jest to łatwe. Nieoczekiwanie otrzymuje propozycję. Ma pomóc odnaleźć młodego biznesmena, którego rodzice – zamiast iść na policję – zwracają się do biura adwokackiego. Teddy wolałby się w to nie mieszać, ale kiedy sprawa z przeszłości zaczyna zagrażać jego rodzinie, przyjmuje zlecenie. Jego partnerką zostaje młoda prawniczka Emelie. Oboje zanurzają się w świat wielkich pieniędzy, przekrętów, płatnego seksu i patologii. W świat ludzi, którym wiele uchodzi na sucho i przed którymi otwierają się drzwi VIP roomów. A także tych wykluczonych, z emigranckich gett, dla których przemoc jest jedynym rozwiązaniem. Emelie musi dobrze wykonać zadanie, od tego zależy jej kariera. Teddy chce pozbyć się długów. Ale czy dlatego go wybrano? Za jaką cenę mógłby zerwać z przeszłością? I czy słusznie odsiedział te osiem lat za kratkami?

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788364 700972

cena 39,90 zł

PIKARSKI WĘDŁY



lubimyczytać.pl

ROOM

